

**MAJA  
WOLNY  
POCIĄG DO  
IMPERIUM**

Podróże po współczesnej Rosji

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Maja Wolny  
COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023  
Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency

Tacie

## WSTĘP

### Pierwsze podróże na Wschód

Moje pierwsze w życiu wspomnienie, a raczej przeczucie, że istnieje Rosja, łączy się z wnętrzem olbrzymiej szuflady w stole kuchennym babci. To lata osiemdziesiąte xx wieku. Mam pięć, może sześć lat. Pośród kolorowych paciorków, pogiętych talii kart, igieł, naparstków, wstążeczek i innych skarbów pobudzających dziecięcą wyobraźnię znajduję złotą monetę z wyraźnymi śladami zębów. Ktoś musiał sprawdzać czystość kruszcu w ten najstarszy z możliwych sposobów. Obracam monetę w dłoni. Widzę tajemne znaki, których nie potrafię rozszyfrować. Jeszcze nie wiem, że istnieje cyrylica. Nie mam też pojęcia, ile jest warte moje znalezisko, ale uznaję, że to wielki skarb. Zabieram monetę z szuflady i dopiero kilka godzin później, dręczona wyrzutami sumienia, oddaję złoto babci. Chowamy pieniądz z powrotem do brzucha szuflady. Babcia mówi mi, że dawno temu istniał car, i to właśnie jego podobiznę wytłoczono z jednej strony monety. Car rządził krajem zwanym Rosja, rządził też i u nas. Potem była jedna wojna i druga, o wiele straszniejsza, po której znowu kraj przejęli Ruscy i tak jest niestety do dziś.

Ostatnie słowa wypowiada szeptem, w jej ściszym głosie czai się niepokój. Babcia zauważa, że jej słowa mnie przestraszyły i żeby zmienić nastrój, intonuje piosenkę w śpiewnym języku cara, po czym odchodzi do swoich spraw.

Podczas kolejnych wakacji u dziadków odkrywam należące do cici, rusycystki, opasłe tomy książek zadrukowanych tym samym pismem, które widniało na złotej monecie. Muszę mieć ponad sześć lat, bo potrafię już czytać, ale te litery nadal są tajemnicą. Odszyfruję je, kiedy zaczną mnie uczyć tego języka.

Pierwsza lekcja odbędzie się kilka lat później, w kieleckiej szkole podstawowej. Wszyscy będziemy na niemodny ruski narzekać i marzyć o wyluzowanym brzmieniu Zachodu, czyli angielskim, znanym z najlepszych piosenek i filmów. Również ten język kiedyś poznam, ale to dopiero za jakiś czas. Na razie jestem tylko uczennicą piątej klasy, ostatniego rocznika skazanego na Wschód. Pierestrojka dopiero się rozkręca.

Na czarno-białym zdjęciu z 22 lipca 1989 roku stoję w pożyczonym harcerskim mundurze przed autobusem. Po krótkiej zbiórce pojedziemy nim na dworzec kolejowy, a stamtąd za granicę, do samego NRD. To będzie moja pierwsza w życiu daleka podróż pociągiem i pierwszy wyjazd za granicę. Mam niecałe trzynaście lat, nie znam nikogo z dwuszeregu, w który nas ustawiono. Ciocka załatwiła mi wyjazd na ten obóz, co było nie lada wyzwaniem, zwłaszcza że nigdy nie byłam harcerką.

Zdjęcie zachowało ostrość, mam na nim zabawną, pełną nastoletnich obaw minę. Czuję, że zaraz wyjdzie na jaw prawda o moim pożyczonym mundurze i rogatywce, choć w tamtym



22 lipca 1989. Stoję druga od lewej. Wyjazd na obóz do NRD.  
Ta „zagranica” była tylko geograficznie na zachód od Polski.  
Nocny harcerski pociąg wiozł nas po prostu w głąb Imperium.

czasie strach przed wszystkim, co związane z mundurami, nieco już w Polsce maleje. Po czerwcowych wyborach do sejmu i senatu coraz częściej słychać, że socjalizm się kończy. Jednak jeszcze nie wszyscy w to wierzą.

W tamtym dniu o wiele bardziej niż sprawy polityki moją uwagę przykuwa pewien wysoki, starszy ode mnie chłopak. Na fotografii akurat odwraca głowę. Chyba już wtedy przeczuwam, że będzie moją pierwszą miłością. Jestem przekonana, że ból brzucha powodujący delikatny, ale widoczny na zdjęciu grymas to skutek zdenerwowania i budzącej się fascynacji nieznanym harcerzem. W toalecie nocnego pociągu odkryję z lekkim przerażeniem i dziewczęcą radością inny powód nasilającego się bólu. Krew popłami harcerską spódniczkę, ale i umocni mnie w przekonaniu o własnej dorosłości. Już kilka dni później będę spacerować z wysokim chłopcem za rękę wzdłuż dziwacznej budowli – muru berlińskiego, który już za kilka miesięcy przestanie istnieć. Latem wciąż jednak tam stał, wszędzie wisiły portrety komunistycznego przywódcy NRD, Ericha Honeckera. Ta „zagranica” była tylko geograficznie na zachód od Polski. Nocny harcerski pociąg wiozł nas po prostu w głąb Imperium.

Deszczowa jesień 1989 roku będzie oznaczać nie tylko koniec żelaznej kurtyny, ale i mojej harcerskiej miłości. W listopadzie wpadnę w rozpacz, którą spotęguje choroba mamy i bolesna degradacja całej naszej rodziny wskutek transformacji ustrojowej. Tata straci najpierw jedną, potem drugą pracę, mama znowu trafi do szpitala.

W atmosferze niedostatku i galopującej inflacji w kraju rozkwitnie przedsiębiorczość, miasta staną się wielkimi targowiskami, na których językiem urzędowym będzie rosyjski. Przybysze z rozpadającego się Związku Radzieckiego sprzedają za bezcen wyciskacze do czosnku, końską maść na ból pleców i inne niezbędne do życia przedmioty.

Podstawówkę skończę z wyróżnieniem. W prezencie od dziadka, ojca mojego taty, emerytowanego nauczyciela, otrzymam sto dolarów. Pieniądzy – wbrew sugestii rodziców – nie odłożę, tylko przeznaczę na realizację marzenia: wyjazdu w daleką podróż.

Mam niecałe piętnaście lat, internet nie istnieje, nie latają tanie linie lotnicze, a wszelkie wyjazdy zagraniczne załatwia się w biurach podróży. Oglądam ogłoszenia i w końcu znajduję najbardziej ekscytującą ofertę. To wyjazd autokarem do Odessy. Marzyła mi się co prawda podróż pociągiem, środkiem lokomocji, który pokochałam od czasów NRD, ale takiej możliwości niestety nie ma.

Na kolorowej fotografii z połowy sierpnia 1991 roku stoję osmalona czarnomorską opalenizną, w dżinsowych szortach i białej bluzce z napisem, którego już nie da się odczytać. Za mną rozpościera się plaża. Teraz wiem, że tę plażę po raz kolejny zobaczę dopiero jesienią 2022 roku. I że będą na niej tabliczki informujące o zakazie kąpieli ze względu na znajdujące się w morzu miny. W Odessie, która we wspomnieniach nastolatki została beztróskim kurortem, będą – tak jak w całej Ukrainie – ciągłe blackouty, odgłosy syren i godzina policyjna.



W wakacje 1991 roku kraj jeszcze nie nazywa się Ukraina, jest wciąż republiką należącą do ZSRR. A ja nawet się nie domyślam, że w Moskwie, stolicy Imperium, grupa generałów szykuje pucz, zamierzając obalić Michaiła Gorbaczowa i powstrzymać pierestrojkę.

Parę dni później pilot naszej wycieczki oznajmi, że właśnie wybuchło coś w rodzaju powstania i nie wiadomo, czy uda nam się w zaplanowanym terminie powrócić do Polski. W stolicy walącego się ZSRR na ulice wjeżdżają czołgi, są ranni i zabici.

Przejeżdżając pakujemy walizki w odeskim hotelu Viktoria. Na ekranach czarno-białych telewizorów śledzimy migawki z Moskwy. Znika powalony przez tłum pomnik Dzierżyńskiego, chaos opanowuje potężnie zbudowany mężczyzna o nazwisku Borys Jelcyn. 24 sierpnia 1991 roku swoją działalność zawiesza radziecka Partia Komunistyczna, a zaraz potem do więzienia trafiają odpowiedzialni za pucz generałowie, a także ich przywódca, Giennadij Janajew. Nasz autokar wraca z Odessy do Kielc z jednodniowym opóźnieniem.

O wychodzącym z więzienia Janajewie słyszę ponownie na początku 1993 roku. Kilkanaście miesięcy wcześniej utworzono Wspólnotę Niepodległych Państw. Uczę się do sprawdzianu z geografii, a kartografowie całego świata nie tak dawno pracowali po dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby od nowa zaprojektować mapy Europy. Granice wciąż się zmieniały, pojawiały się nowe, wyswobodzone z Sojuza kraje.

Parę miesięcy później ukazuje się *Imperium* Ryszarda Kapuścińskiego. Jesienią 1993 roku jestem tylko marzącą

o karierze pisarki licealistką, ale już pięć lat później zostając koleżanką z pracy autora *Cesarza*. Odbywam staż w redakcji „Polityki”, zaprzyjaźniamy się. Rok 2000 okaże się przełomowy zarówno dla mnie, jak i dla Imperium. Podczas Targów Książki we Frankfurcie pomogłam przygotować wywiad z Kapuścińskim dziennikarzowi belgijskiej gazety „De Morgen”. Okazuje się nim mój przyszły mąż i ojciec moich dzieci, Marc Peirs. W tym właśnie roku, w atmosferze strachu przed pluskwą milenijną, władzę na Kremlu przejmie Władimir Władimirowicz Putin, człowiek ogarnięty obsesją nowego Imperium. Ryszard umiera w styczniu 2007 roku. Nie usłyszy już słynnego przemówienia rosyjskiego prezydenta w Monachium z lutego tego samego roku, w którym pada zapowiedź powrotu do imperialnej polityki.

Pociąg do Imperium rozpędzał się już od wielu, wielu lat. Ten pociąg, na którego niepokojący stukot kół kiedyś nie zwracało się uwagi, przejeżdża teraz bardzo blisko. Wszyscy możemy być jego pasażerami lub ofiarami.

Kiedy piszę te słowa, jest styczeń 2023 roku. Po jesieni wypełnionej niebezpiecznymi podróżami na Wschód ukrywam się, właściwie nie wychodzę na zewnątrz. Różnymi kanałami płyną do mnie pogroźki rosyjskich trolli, życzenia śmierci, precyzyjne opisy możliwych egzekucji. Staram się nie traktować tego wszystkiego zbyt poważnie, ale po tym, co się wydarzyło kilka dni temu, a o czym jeszcze nie mam siły pisać, muszę zachować ostrożność. Na razie nigdzie nie wyjadę. Mam czas, żeby opisać kilka zupełnie niezwykłych podróży na Wschód od początku XXI wieku aż do 2022 roku, roku wojny.

ODJAZD, 5 PAŹDZIERNIKA 2022

## *Reisefieber*

Od końca lutego 2022 roku z Dworca Centralnego w Warszawie nie odjeżdżają już luksusowe pociągi Polonez do Moskwy. Ani żadne inne, które przekraczałyby wschodnią granicę. Nie latają też samoloty. Droga do Rosji wydaje się nie istnieć. Jakby nagle w szaleństwie wojny to wielkie państwo zniknęło z mapy. Jak dotrzeć do kraju, do którego teraz się nie jeździ? Do kraju, który sam skazał się na izolację? Wiem, że wciąż funkcjonuje kilka przejść granicznych dla ruchu samochodowego. Nie mogę jednak pojechać własnym autem. Mam do pokonania ponad dziesięć tysięcy kilometrów w jedną stronę. Mój wysłużony samochód nie dałby rady w Imperium, którego drogi są często nieprzejezdne, bo nie służą ludziom i ich potrzebom, ale zupełnie innym celom. Nawet przyroda w Rosji wydaje się niegościnna. Choć jest dopiero początek października, to wiem, że temperatura na mojej trasie spadnie do minus kilkunastu stopni, będą burze śnieżne, błota i ulewy. Dlatego lepiej nie podróżować po Imperium żadnym ciałem obcym, żadną maszyną z importu, na przykład ze słonecznej Italii, ale korzystać z tego,

co jest na miejscu, co władza wypożycza ludziom do tego, by się pod jej kontrolą i aprobatą przemieszczali. Własny samochód oznaczałby wolność, ale w kraju, w którym wolności oduczono, jest ona czymś niebezpiecznym, czymś, co sprawia kłopot i dyskomfort. Chcę być możliwie niewidzialna, podobna do reszty. Może w ten sposób uda mi się więcej zrozumieć, zbliżyć do ludzi, którzy wydają mi się tak bliscy i zarazem tak odlegli.

Możliwości dojazdu do Rosji drogą lądową jest kilka: przez Białoruś, przez Kaliningrad lub przez państwa bałtyckie. Zanim kupiłam bilet, przeliczyłam kilometry na kiepskich drogach i martwe godziny, które trzeba spędzić na przejściach granicznych. Z równania wyszedł mi Tallin, oddalony od granicy z Rosją o dwieście kilometrów. Tędy biegnie trasa E-20, łącząca – przynajmniej teoretycznie – Shannon w Irlandii, przez Morze Północne i Bałtyk, z Petersburgiem. W umysłach inżynierów wytyczających trasy łatwo jest skomunikować Zachód ze Wschodem. Wzdłuż E-20 Estonia łączy się z Imperium mostem na Narwie, tak zwanym Mostem Przyjaźni, zbudowanym w czasach sowieckich. Kiedy powstawał, kraje Pribałtyki były republikami ZSRR.

Autobus to model z lat dziewięćdziesiątych, pachnący charakterystyczną mieszanką starych kanapek i detergentu. Mogłam do niego wsiąść już na dworcu w Warszawie, ale wybrałam Tallin, bo tak jest najszybciej, nie chcę tracić czasu, tylko jak najszybciej dotrzeć w głąb Rosji. Mam tylko kilka tygodni na tę podróż i muszę spędzić jak najwięcej czasu w miejscach, które chcę opisać.

W autobusie do Imperium jestem jedynym przybyszem z Zachodu. Niestety zwracam na siebie uwagę, widzę to po ukradkowych spojrzeniach współpasażerów. Zdradza mnie fryzura, wciąż w miarę zrelaksowany wyraz twarzy i ciekawość. Siedzący w autobusie ludzie są spięci, zamyśleni, ze wzrokiem utkwionym w telefonach. Chętnych do przekraczania granicy z Rosją nie ma wielu – zapełniona jest tylko jedna trzecia miejsc. Ponury kierowca, Rosjanin, długo sprawdza moje dokumenty. Wreszcie pozwala mi usiąść. Dookoła sami Rosjanie, młody mężczyzna z Kazachstanu, para seniorów z Armenii i jeden Ukrainiec. Na pustych siedzeniach leżą czarne reklamówki na chorobę lokomocyjną. Nikt nie rozmawia. Na nieliczne, zdawkowe pytania (Czy nie będzie przeszkadzać, jak się rozłoży siedzenie? Ile kilometrów do granicy?) padają krótkie rzeczowe odpowiedzi. Na chwilę przed odjazdem przychodzi mi irracjonalna myśl, żeby zrezygnować z podróży. Odganiem ją, choć wiem, że będzie do mnie wracać. Czuję znajomy ścisk w żołądku.

Żeby przekroczyć granicę Federacji Rosyjskiej jesienią 2022, trzeba mieć wizę, negatywny wynik testu na COVID, sporo gotówki i jednak trochę odwagi. W Rosji, wskutek sankcji nałożonych po agresji na Ukrainę, nie działają zachodnie karty płatnicze, ale to nie wszystko. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych tuż przed moim wyjazdem wydało komunikat: „Zwracamy uwagę na [...] działania miejscowych służb, jak arbitralne zatrzymania, przeszukiwania telefonów komórkowych oraz potencjalne uniemożliwienie wyjazdu z Rosji w przypadku

posiadania podwójnego obywatelstwa”. Człowiek podróżujący do Imperium jest zdany na siebie, bo jak informują służby, pomoc konsularna jest bardzo ograniczona. Trzeba więc przewidzieć każdą ewentualność, poinformować zaufane osoby o planie podróży, rozmieścić gotówkę w różnych miejscach. I jakoś uporać się z lękiem, który trudno nazwać. Tymczasem wszyscy znajomi zadawali mi przed wyjazdem to samo pytanie:

– Nie boisz się?

Szczera odpowiedź jest tylko jedna. Boję się. To jest strach osobliwy, zupełnie inny niż ten, który towarzyszył mi w trakcie pobytu w zaatakowanej przez Rosję Ukrainie. Tam zagrożenie jest wyraźne i określone. Byłam niedaleko Chersonia, widziałam zniszczenia po uderzeniach rakiet, barykady i ruiny. Tak jak wszyscy sprawdzałam alerty przeciwbombowe i chowałam się przed godziną policyjną. To też był strach, ale w Ukrainie udziela się odwaga Ukraińców, poczucie wspólnoty i wiara w to, że w razie nieszczęścia znajdą się ludzie chętni do pomocy.

Wyjazd do Rosji jest czymś zupełnie innym. To wyprawa w ciemności. Należy szybko przyswoić sobie reguły gry. Wokół czają się upiory. Nie wiadomo, które z nich są prawdziwe i groźne, a które istnieją tylko w wyobraźni. Ciemności są ogromne. Można się w nich zagubić i już nigdy nie wrócić. Myśl o tym, że w tym wielkim kraju każdy jest mikroskopijną mrówką, może być zarówno pocieszeniem, jak i powodem lęku. Komu by się chciało zajmować ciekawskim przybystem z Polski, skoro wokół są 143 miliony mieszkańców? Zwłaszcza że trwa mobilizacja, w całym państwie przed komisją wojskową

ukrywają się setki tysięcy mężczyzn, z których część próbuje zbiec za granicę. Z drugiej strony, jeśli w tym olbrzymim kraju zaginę w tak zwanych niewyjaśnionych okolicznościach, to kiedy ktoś zacznie mnie szukać? Wyobraźnia podpowiada rozmaite scenariusze, jasne, że przesadzone, ale kto tak naprawdę wie, co się teraz w Rosji dzieje.

Właśnie dlatego tam jadę: chcę na własne oczy zobaczyć, jak bardzo jest źle. Rosja opustoszała z nie-Rosjan, coraz bardziej zamyka się w swoim szaleństwie. A z szalonym krajem jest jak z pacjentem w szpitalu psychiatrycznym – zamiast pozostawiać go samemu sobie, lepiej zainstalować w jego pokoju kamerę i go obserwować. A więc jadę z moją małą kamerą. Właściwie tylko ze smartfonem, który teoretycznie mogą mi odebrać albo przynajmniej skontrolować. Wystarczy, że zajrzą na media społecznościowe i zobaczą ukraińską rodzinę uchodźców, którzy się u nas zatrzymali. Albo żółto-niebieską flagę.

Myślę o tym wszystkim i nie potrafię się za bardzo odprężyć, choć siedzenia w wysłużonym autobusie są całkiem wygodne. Wciąż jeszcze jesteśmy w Estonii, w bezpiecznych granicach Unii Europejskiej. Ale za niecałą godzinę to się zmieni. Zmierzch zaciera granicę między północną równiną, wszechobecną wodą i niespokojnym niebem. Pada, za oknami autobusu drzewa szarpie wiatr znad Zatoki Fińskiej. W tym nadbałtyckim kraju pogoda nie rozpieszcza, ale do tego wszyscy przywykli, nie to jest tutaj największym zmartwieniem. Estonia jest podzielona. Jedna trzecia ludności to Rosjanie, rosyjski słychać dosłownie wszędzie. Ci najbiedniejsi ruskojęzyczni drażnią



Co robić? Na chwilę przed odjazdem przychodzi mi do głowy irracjonalna myśl, żeby zrezygnować z podróży. Odganiam ją, choć wiem, że będzie do mnie wracać.



Estończyków: piją i sprawiają kłopoty. Bogaci Ruscy też drażnią, bo do nich należą imponujące dacje na wielu z ponad tysiąca pięciuset estońskich wysepek. Po lutowej inwazji na Ukrainę napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Pojawiły się informacje, że Rosjanie werbują agentów wśród rosyjskojęzycznej ludności Estonii, często przekraczającej granicę na tym samym przejściu, na które właśnie jedziemy.

Kilometry uciekają szybko, już niedługo stracę zasięg w komórce. Częścią lęku przed podróżowaniem do Rosji jest też mniej przerażająca, ale przecież obecna obawa logistyczna. Czy VPN zadziała? Bez niego nie można korzystać z Facebooka, Instagrama, Twittera czy popularnych serwisów streamingowych. Spokojnie wytrzymam bez oglądania seriali, ale czy poradzę sobie z komunikacją, przejazdami, zakwaterowaniem? Czy zabrałam wystarczająco dużo rubli i euro nie tylko, by przeżyć, ale i na jakieś ewentualne łapówki?

Jeszcze nie przekroczyłam granicy, ale przecież wiem dobrze, co poczuję za te kilkadziesiąt kilometrów. Po raz kolejny doświadczę tego samego pchnięcia w brzuch, bolesnego skurczu uświadamiającego, że ta część świata wcale mnie u siebie nie chce. Tak dobrze to znam, a jednak zawsze wierzę, że kiedyś będzie inaczej. Zwłaszcza gdy z bezpiecznej odległości własnego domu przeglądam zastygłe na fotografiach wspomnienia z poprzednich podróży do Rosji.

Być może wszędzie jesteśmy obcy, a poczucie przynależności jest iluzją ludzi, którzy się nie przemieszczają. Są jednak miejsca, gdzie to odczucie jest mniejsze, prawie niezauważalne.

W Imperium doświadcza się go wszędzie i często, bo nikt się tu o obcych nie troszczy. Obcy są niemile widziani – za bardzo przypominają o istnieniu systemów, w których jednostka w stosunku do władzy zajmuje nieco wyższą pozycję. Pamiętam, że zauważyłam to już dawno temu, podczas pierwszych podróży do tego kraju, ale wtedy ta niechęć wydała mi się czymś właściwym rosyjskiej biurokracji, reliktem komunizmu. Sytuacje zderzenia z ponurą antypatią zdarzały mi się na poczcie, w kasie, w okienkach rozmaitych instytucji, ale zwykli mieszkańcy byli dla mnie zwykle mili lub przynajmniej neutralni. To były jednak czasy sprzed wojny. Wtedy do Rosji latałam samolotem albo przyjeżdżałam pociągiem z Warszawy. Ten sam pociąg przywoził też Rosjan do Polski. Między Imperium a resztą Europy istniała łączność, która została zerwana.

Odkąd zbliżyliśmy się do strefy nadgranicznej, z autobusowego radia płyną wyłącznie rosyjskie piosenki. Wszystkie wydają się smutne i anachroniczne. Wjazd na teren Federacji to jak podróż w czasie do końca lat osiemdziesiątych, do przedcyfrowej epoki zimnej wojny. Taka też jest przeprawa graniczna. Kierowca przygotowuje nas przez mikrofon – każe przygotować paszporty, otworzyć je na fotografii ze zdjęciem. Zadaje też niepokojące pytanie, czy ktoś z podróżnych ma ukraińskie obywatelstwo. Zgłasza się młody mężczyzna. Kiedy przejedziemy przez kontrolę estońską, która przebiega dość sprawnie, chłopak z Ukrainy będzie musiał opuścić autobus. Odprowadzam go wzrokiem, widzę, że wchodzi z żołnierzami do niskiego budynku, drzwi się zamykają. Współpasażerowie

w ogóle się nim nie interesują, ale właściwie nikim się nie interesują. Nikt się niczemu nie dziwi, nikt nie wyraża zniecierpliwienia. Żadnych interakcji, zbędnych pytań, gestów czy nawet westchnięć. Żadnego patrzenia w oczy. Rosyjscy pogranicznicy pojawiają się z psami i latarkami. Do autobusu wchodzi też kobieta w średnim wieku, która przedstawia się jako inspektor sanitarny. Mamy jej pokazać testy na COVID. Ogląda je za pomocą małej latarki. Słysząc, że oblicza liczbę godzin, które minęły od poszczególnych wymazów. Nie może być więcej niż siedemdziesiąt dwie. Potem kolejni pogranicznicy. Znowu zbierają wszystkie paszporty i wynoszą do jednej z budek. Dość szybko dostajemy je jednak z powrotem. Teraz kolejny etap przeprawy: wszyscy mają wsiąść i zabrać ze sobą swoje rzeczy, także prowiant oraz duże torby z bagażnika. Wchodzimy do obskurnego oświetlonego jarzeniówkami kontenera. Pokornie ustawiamy się w kolejce do okienka kontroli granicznej. Wciąż nigdzie nie widać mężczyzny z Ukrainy. Sprawdzanie każdego trwa kilka minut. Celniczka świdruje wzrokiem, oddala i przybliża paszport, marszczy czoło, groźnie wpatrując się w zdjęcie. Każdy jest potencjalnie podejrzany. Tylko o co? Nie wiadomo. Wreszcie moja kolej. Ciche studiowanie fotografii. Stoję spokojnie, oddycham. Wiem, że wszystko jest w porządku, mam ważny paszport, wizę i inne papiery, a jednak w żołądku czuję ucisk. Kobieta mruczy coś pod nosem i pyta, czy rozumiem po rosyjsku. Odpowiadam twierdząco. Każe mi zetrzeć makijaż. Zastanawiam się, czy dobrze zrozumiałam. Przez chwilę stoję bez ruchu. Celniczka pokazuje zniecierpliwionym gestem, co

mam zrobić. Teoretycznie chodzi o to, żeby się bardziej upodobnić do siebie na zdjęciu. A tak naprawdę o to, by pokazać, kto ma władzę. Znam reguły. Dotykam palcami powiek. Niczego nie ścieram, ale okazuję zrozumienie reguł gry. Kobieta kiwa głową, huk ciężkiej pieczętki z nazwą przejścia granicznego, Iwanogród, oznajmia, że weryfikacja zakończona pozytywnie. Dostaję paszport, w nagrodę mogę przejść dwa metry w głąb Federacji Rosyjskiej, ale nie dalej. To ostatni etap odprawy: kontrola bagażu. Należy wszystkie torby ułożyć na taśmie, a samemu przejść przez bramkę jak na lotnisku. Na krzeselkach z drugiej strony siedzą współpasażerowie, którzy całość granicznego magla mają już za sobą. Po kilkunastu minutach otwierają się jedne z kilku takich samych drzwi w hali kontenera i pojawia się nasz współpasażer Ukrainiec. Ma niewesołą minę, ale jednak go puścili. Próbuje zagadać. Pytam go, czy było ciężko.

– Tak, bardzo ciężko. – Odwraca się, nie ma ochoty mówić więcej. To, co wydarzyło się za zamkniętymi drzwiami, pozostanie tajemnicą.

Pod kontener podjeżdża nasz autobus. Możemy się z powrotem ładować do środka. Wjeżdżamy w chłodną rosyjską noc.

## PETERSBURG. AGORAFOBIA

Minęła północ. Okolice dworca przy Kanale Obwodowym toną w ciemnościach. Po jednej stronie jest woda: mroczna i prawie nieruchoma liże stromy betonowy brzeg. Dookoła pustka: szkielety starych fabryk, garaże, zardzewiałe, prowadzące donikąd bramy. Tylko pędzące pewnie po szerokiej jezdni samochody dobrych marek zdradzają, że dojechalіśmy do centrum dużego miasta, do metropolii, w której jedni są biedni, a inni sporo zarabiają, prowadzą nocne życie, właśnie wracają do swoich loftów i podmiejskich rezydencji. Parking, na którym z głośnym sykem zatrzymuje się autobus, oddzielają od budynku więzienne kraty – żeby się dostać do środka, trzeba przejść przez wąską furtkę. W obszernej hali brzęczą jarzeniówki. Pomieszczenie jest sterylne, wyłożone płytkami. Wszystkie okienka pozamykane, pierwszy autobus odjeżdża dopiero za cztery godziny. Wychodzę na zewnątrz. Znajomy, który miał mnie odebrać, najwyraźniej się spóźnia. Myślę z niepokojem, że miałabym w tym miejscu długo na kogoś czekać. Inni pasażerowie mają więcej szczęścia: po nich już ktoś przyjechał, w pośpiechu opuścili

nieprzyjazny dworzec, który być może celowo tak wygląda, aby nikt nie spędzał tutaj zbyt dużo czasu.

W Petersburgu mówi się, że okolice Obwodowego są przekłete. Ośmiokilometrowy kanał jest najdłuższy w tym mieście, w którym wszystko łączy się z wodą. Powstawał etapami, pierwszy odcinek wykopano jeszcze w latach sześćdziesiątych XVIII wieku. Dobrze, że wciąż mamy rok 2022. W styczniu 2023 powróci tutaj klątwa, w którą petersburżanie święcie wierzą: jeśli rok kończy się na cyfrę trzy, to kanał znowu przyciągnie setkę samobójców. Tragiczna legenda sięga 1923 roku, kiedy sowiecka władza zdecydowała o zniszczeniu znajdującego się nad kanałem przedchrześcijańskiego cmentarza z XI wieku. Płyty nagrobne wykorzystano do budowy prospektu Ligowskiego. Od tego czasu kanał przyciąga nieszczęśników, którzy rzucają się w jego brudną toń. W 1923 roku odnotowano 89 utonięć, w 1933 roku było ich już 107. Do dziś Petersburg przoduje w tragicznych statystykach samobójstw w Rosji. Prawdopodobnie bardziej od kanału winna jest pogoda – trzeba mieć wielkie szczęście, żeby zobaczyć tu słońce, przeciętnie w roku bywa tylko 60 dni słonecznych. Przez pozostałych trzysta jest wietrznie, chmurno i deszczowo. Tak jak teraz. Fiodor Dostojewski, który w Petersburgu spędził większość dorosłego życia, pisał, że klimat tego miasta jest przygnębiający i że potęguje samotność. Patrzą w niebo, ale nie ma na nim ani jednej gwiazdy.

Ze zmęczenia robi mi się zimno. Słyszę szmery. To pewnie szczury – w okolicy jest ich pełno. Wreszcie ciemności rozjaśnienia biała terenówka. Wstrzymuję oddech. Oby to był Sława, na

którego czekam, żeby zabrał mnie stąd w lepsze miejsce. Auto hamuje brawurowo. Wsiada z niego energiczny czterdziestolatek w okularach. Macha do mnie i od razu przejmuje mój plecak. Z radością mu go oddaję. Mężczyzna demonstracyjnie nim podrzuca, dla niego jest lekki jak piórko.

– Tylko tyle? Na podróż do Magadanu? A ja specjalnie wziąłem większe auto. – Sława wydaje się rozczarowany. Zna moje plany, bo jego żona, Dina, wykupiła mi bilet lotniczy na Kołymę. Strona internetowa Aeroflotu, podobnie jak wielu innych rosyjskich przedsiębiorstw, jest w Polsce niedostępna. To efekt sankcji nałożonych na Rosję przez Unię Europejską. W ogóle logistycznych problemów jest wiele. O jednym z nich wspominała Dina nieśmiało w ostatnim mejlu:

Na pewno chcesz ten bilet, tak? Nie boisz się latać Aeroflotem? Nie masz żadnych lęków?

Za tą troską kryła się informacja ściśle strategiczna, która w formie nie do końca zweryfikowanych doniesień właśnie rozchodziła się po świecie. Część samolotów Aeroflotu zaczęła od pewnego czasu pełnić funkcję tak zwanych choinek, czyli maszyn uziemionych, które poświęca się na części. Ponad połowa rosyjskiej floty to import z zagranicy. Oficjalnych danych nie ma, ale według przecieków z wczesnej jesieni 2022 roku kilka airbusów zostało już w Rosji rozebranych na kawałeczki. Martwy samolot zasila inne, żeby mogły w miarę bezpiecznie latać. Taki powietrzny kanibalizm czasów wojny i sankcji.

Sława zamyka klapę bagażnika i otwiera mi drzwi samochodu.

– Pięknie pachnie, nowością – mówię, a mój komplement wyraźnie mu się podoba. Ruszamy z piskiem opon.

Pędzimy wzdłuż kanału, sprawdzając możliwości nowego auta na pustej ulicy. Zostawiamy za nami ponure okolice Obwodowego. Skręcamy w lewo, gdzie połyskuje rozświetlona Nawa. Powinniśmy zjechać od razu przy moście Aleksandra Newskiego, ale na moją prośbę Sława jedzie okrężną drogą. Kierujemy się na most Litiejny, ten sam, który ponad dekadę temu zasłaniał politycznym graffiti: młodzi aktywiści z grupy artystycznej Wojna wymalowali na nim sześćdziesięciometrowego fallusa. Kiedy most się podniósł, powstał także i penis, groźnie mierząc w pobliską siedzibę Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Jadąc terenówką Sławy, mam naiwną nadzieję, że stanie się cud i za chwilę znowu pokaże się to pamiętne graffiti o tytule *Хуй в плен у ФСБ* (Chuj w niewoli FSB). Most jednak jest opuszczony, nic się nie wydarzy. Bo i grupy artystycznej Wojna już nie ma. Po wielokrotnych zatrzymaniach, aresztowaniach i grzywnach jej założyciel Oleg Worotnikow wyjechał z kraju. Z emigracyjnego oddalenia ogłosił się zwolennikiem Putina. Oleg ma żonę i dwoje dzieci. Swój głos poparcia dla Kremla oddał już po zagadkowej śmierci innego aktywisty Wojny – Leonida Nikołajewa, zwanego Szalonym Lenią, który we wrześniu 2015 spadł z drzewa i zmarł w szpitalu. Przed śmiercią nie odzyskał przytomności, nigdy więc się już nie dowiemy, co się wydarzyło, kiedy Lenia przycinał drzewa...



W Petersburgu nie byłam od 2006 roku. Wtedy w mieście roiło się od turystów z Zachodu. W porcie cumowały wielkie białe statki rejsowe ze Skandynawii z bogatymi emerytami chcącymi w bezpieczny sposób poznać Rosję. Przez wiele lat do odwiedzenia Petersburga wystarczała e-wiza, którą można było wyrobić przez internet. W ten sposób władza sama zachęcała gości z Zachodu do odwiedzin grodu nad Newą. Powstał jako wizytówka nowoczesnej Rosji według szalonego pomysłu cara Piotra Wielkiego.

Władca zapragnął mieć u siebie kopię Amsterdamu. Holandią zachwycił się podczas europejskich wojaży. Nic dziwnego, wtedy był to najbogatszy i najpotężniejszy kraj w Europie, choć zamieszkiwały go tylko dwa miliony mieszkańców. Źródłem bogactwa był handel z krajami zamorskimi. Kanały, statki, mosty i spichlerze wydawały się obietnicą złotego snu o potędze. Kiedy rosyjski monarcha przybył do Amsterdamu latem 1697 roku i ujrział wszechobecną wodę, a także ruch w porcie i na targowiskach, zapragnął całym sercem mieć coś takiego u siebie. Przybywał incognito, ale jak się ma ponad dwa metry wzrostu i charakterystyczną fizjonomię, trudno o anonimowość. Podpatrywał utalentowanych rzemieślników, snuł własne marzenia i projekty. Wszystkiego chciał dotknąć i wszystko zbadać. Zakasywał rękawy, brał się do roboty w stoczniach i manufakturach. W ten sposób nauczył się zegarmistrzostwa, szkutnictwa, tkania jedwabiu, a nawet innej przydatnej sztuki – bezbolesnego wrywania spróchniałych zębów. Ta historia musi imponować obecnemu władcy kraju, który też lubi pokazywać swoją wszechstronność

i chętnie pokazuje się na koniu, na polowaniu czy w kostiumie pletwonurka. Piotr I jako wzór do naśladowania dla współczesnego cara: imperator i reformator. Człowiek silnej ręki.

Kiedy Piotr I wrócił z Europy do Rosji, od razu zarządził zmiany. Zażyczył sobie, żeby bojarowie zgolili brody, a na terenach u ujścia Newy, które właśnie odebrał Szwecji, miał powstać drugi Amsterdam. Delta rzeki, liczne wysepki i mokradła rzeczywiście przypominały krajobraz Holandii. Do prac projektowych zaangażowano architektów z Zachodu. Ciężka robota fizyczna spadła natomiast na chłopów pańszczyźnianych, którzy harowali od wschodu do zachodu słońca. Szeregi robotników dziesiątkowały szkorbut i dyzenteria. Wielu próbowało ucieczki, choć kara dla złapanych zbiegów była okrutna – obcięcie nosa. Podczas realizacji amsterdamskiego marzenia Piotra Wielkiego śmierć poniosło prawdopodobnie kilkaset tysięcy osób. Wciąż odkrywane są zbiorowe mogiły robotników z czasów wielkiej budowy, miasto faktycznie zostało zbudowane na szkieletach. Taka była cena europeizacji małego kawałeczka Rosji... Budowa Petersburga to jednocześnie ważna lekcja, którą odebrało rosyjskie społeczeństwo: władza w tym kraju sięga po wszystko, co jej się zamarzy. Bez względu na koszt i cierpienie podwładnych.

Petersburg miał zostać, i został, hołdem złożonym carowi. W mieście do dziś stoi trzydzieści pomników Piotra I. W rosyjskiej telewizji ciągle lecą filmy kostiumowe o wielkim carze, idolu współczesnych dyktatorów. Może to nie przypadek, że w założonym przez niego mieście przyszli na świat zarówno Władimir Putin, jak i Dmitrij Miedwiediew.

Markiz de Custine w listach z Rosji, niezwykle przenikliwej relacji, która zawiera wiele niezwykle cennych obserwacji, już w 1839 roku pisał, że w tym kraju despotyzm jest silniejszy niż natura. „Cesarz w Rosji jest nie tylko przedstawicielem Boga” – pisał Francuz – ale „samą potęgą twórczą: potęgą rozleglejszą niż boska, bo Bóg tworzy tylko przyszłość, podczas gdy cesarz przetwarza przeszłość. Prawo nie działa wstecz, natomiast kaprys despoty działa”. Od pierwszej połowy XIX wieku wiele się w Rosji zmieniło, ale te słowa brzmią niepokojąco znajomo. De Custine mógłby je żywcem przepisać do nowego wydania swojej bestsellerowej książki.

Kontrast pomiędzy tym, jak puste są teraz ulice Petersburga, a tym, co zapamiętałam z mojej ostatniej wizyty, zapewne potęguje pogoda. Wtedy był czerwiec, białe noce. A dziś październik, w powietrzu wisi wilgotny chłód z Karelii.

Dzielę się tą uwagą ze Sławą. Mówię, że Rosja jest coraz dalej od Europy. Mężczyzna wzrusza ramionami:

– Nie przesadzajmy. Jesteście po prostu zastraszeni. Zastraszeni przez zachodnią propagandę. Ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego turyści przestali przyjeżdżać do Petersburga. Zobacz, jakie to piękne miasto!

Akurat z piskiem opon rusza koło nas luksusowe auto z przyciemnionymi szybami. W Petersburgu mieszka oficjalnie ponad pięć milionów ludzi, nieoficjalnie – około ośmiu. Nie jest tu bezpiecznie. Złą sławą cieszą się kibice Zenitu, klubu piłkarskiego, którego właścicielem jest Gazprom. Kilka lat temu cały świat pisał o skandalu na stadionie, kiedy oburzeni włączeniem

do drużyny czarnoskórego Brazylijczyka kibice wywiesili ironiczny transparent „dziękujemy działaczom za wierność tradycji”, a potem wznosili rasistowskie okrzyki pod adresem nowego zawodnika. Nie był to pierwszy taki incydent. Petersburg bywa nazywany stolicą skinheadów. W 2007 roku ujęto członków grupy Lincoln-88, oskarżanych o morderstwa i napady na tle rasowym. Przesiępcy atakowali ludzi o niesłowiańskich rysach twarzy. Większość z zatrzymanych wyszła już dawno na wolność.

Mówi się, że Petersburg ma w sobie coś ze swojego świętego patrona, Piotra, który trzy razy wyparł się Jezusa. Miasto trzykrotnie zmieniało tożsamość. Przed rewolucją październikową jego oficjalna nazwa brzmiała Sankt Petersburg, ale przymiotnik *sankt*, święty, drażnił rewolucjonistów. Przemianowano go na bardziej świecki i mniej kojarzący się z carem Piotrogród, a od 1924 – na jeszcze bardziej pasujący komunistycznemu państwu Leningrad.

Po rozpadzie ZSRR rozgorzała dyskusja, czy miasto powinno wrócić do starej nazwy. W 1991 roku zorganizowano w tej sprawie referendum, które mieszkańcy potraktowali z wielką powagą. Walka zwolenników starego i nowego była niezwykle zażarta. W końcu przy liczeniu głosów okazało się, że przewaga historycznego Petersburga nad sowieckim Leningradem była tylko jednoprocentowa, ale nazwę mimo wszystko zmieniono. Jednak do dziś słyszy się, że starsi mieszkańcy mówią po dawnemu – Leningrad. Młodszy używają natomiast swojskiego skrótu Piter. Przymiotnik *sankt* nie ma wzięcia.

Powoli dojeżdżamy ze Sławą do mojego bardzo europejskiego hotelu przy niepozornej i zaniedbanej ulicy Aleksandra Newskiego. Żegnamy się, wymieniamy uprzejmości. Wchodzę do środka. W drzwiach zauważam, że nazwa hotelu Kravt Nevsky zapisana jest alfabetem łacińskim, nie cyrylicą. Recepcjonistka nie mówi jednak w żadnym europejskim języku i bardzo się cieszy, że znam rosyjski.

Projektanci wewnątrz musieli się niezwykle starać, żeby zrobić z hotelu miejsce światowe. Od razu zauważam, że meble są z Włoch, a na dnie umywalki połyskuje błękitny napis Paris. Jest już prawie druga w nocy, więc szybko zasypiam. Na łóżku zasłanym pościelą z IKEA.

Następnego dnia w Petersburgu wygrywa ponura pogoda statystyka. Oczywiście jest pochmurnie. W hotelowej restauracji dostaję bardzo nierosyjskie śniadanie: francuskie tosty z awokado i latte z włoskiego ekspresu. Za posiłek niestety trzeba płacić osobno, i to słono, żałuję, że nie mam czasu się tym wszystkim delectować. Jem szybko, bo się spieszę i akurat pech – blokuje się kasa fiskalna. Młodziutka kelnerka, która musi mi wydać resztę, nie umie jej otworzyć. Stoję nad nią lekko zniecierpliwiona. Dziewczyna przeprosza, proponuje, żebym zapłaciła kartą, czego niestety zrobić nie mogę, bo skutek sankcji płatności elektroniczne zachodnimi kartami zostały w Rosji zablokowane. Tłumaczę to kelnerce, która bezskutecznie ponawia próbę otwarcia kasy. Nagle staje się coś, czego się zupełnie nie spodziewałam: kelnerka wybuchła płaczem. Jest to prawdziwy szloch. Dziewczyna wydaje się niepokieszona. Moje

niezręczne pytanie, czy to może jej pierwsze dni w nowej pracy, tylko pogarsza sytuację.

– Jestem tu od roku! – zalewa się łzami kelnerka.

Proszę, jak umiem, żeby się nie przejmowała, przecież nic takiego się nie stało. Zerkam na zegarek i proponuję, że przyjdę po pieniądze później. Dziewczyna błaga jednak, żebym nigdzie nie odchodziła.

– Będę miała nieprzyjemności, proszę, niech pani zaczeka...

Siadam z powrotem przy stoliku. Kelnerka czyści głośno nos, a potem znowu wyciera łyzy. Telefonuje, znika w toalecie. Wreszcie po kilku minutach pojawia się kolega w barowym uniformie, który w ciągu kilku sekund naprawia urządzenie. Z szufladki wyskakuje moja reszta. Kelnerka jeszcze raz przeprosza, pociera zaczerwienione oczy:

– Dziś rano się dowiedziałam, że wzięli na wojnę mojego chłopaka.

Zanim wyjdę do miasta, wracam do pokoju jeszcze dwa razy – po parasolkę i cieplejszą kurtkę, w hotelu będę dopiero późnym wieczorem. Po południu spotykam się z Leną, młodą nauczycielką rosyjskiego, która zgodziła się towarzyszyć mi w wędrówkach po mieście. Kiedy przechodzę przez szklane drzwi oddzielające zachodni luksus hotelu od ponurej rzeczywistości, mam przed oczami zapłakaną twarz kelnerki. Nie wiem, czy Rosjanie kiedyś odzyskają współczucie Europy i pewnie łyzy tej dziewczyny powinny mnie w ogóle nie wzruszać. Ale wzruszyły. Chętnie bym teraz zapaliła papierosa, choć

posmak emocjonalnego dyskomfortu raczej nie zniknąłby od dymu...

Idę do końca ulicą, mijam zapyziały spożywczy, zamknięty na głucho bar oraz sklep z artykułami dla myśliwych. Skręcam w prawo i perspektywa od razu się zmienia. Wchodzę na prospekt Newski, główną ulicę miasta. Znam tę nazwę jeszcze z czytanek, z podstawówkowych lekcji rosyjskiego. Przykleiła mi się w pamięci, jak wiele innych określeń, które wtedy, lata temu, wydawały się do niczego nieprzydatne. Chyba nawet powątpiewałam w ich istnienie, podobnie jak w realność legendarnego obozu dla pionierów w Arteku na Krymie, idealizowanym we wszystkich podręcznikach do ruskiego. Wtedy podejrzewałam, że malownicze wakacyjne scenki i obrazki mają odwrócić naszą dziecięcą uwagę od realiów typu Czarnobyl. Chyba się udawało, bo nawet jeśli się do tego głośno nie przyznawaliśmy, to przecież bardzo chcieliśmy pojechać nad Morze Czarne i spać w namiocie z pionierami ze wszystkich krajów socjalistycznych, zobaczyć skafander Jurija Gagarina i kopię łunochodu, łożnika do badań powierzchni Księżyca...

Prospekt Newski istnieje naprawdę. Na chodnikach pełno ludzi, fasady budynków coraz okazalsze, środkiem pędzą samochody i autobusy. Kiedy spogląda się na plan miasta w Google Maps, widać, że ulica jest krzywa, a w miejscu załamania prostej znajduje się tuszujący tę nieregularność plac Powstania. Niemal wszystko w starym Petersburgu było wznoszone na szybko, siłami chłopów niewolników. Prospekt Newski budowano jednocześnie z dwóch stron – ze wschodniej i zachodniej.

Robotnicy mieli się spotkać pośrodku, ale coś nie wyszło. Kiedy car się o tym dowiedział, wpadł w furję. Nie było jednak innej rady, jak po prostu ten błąd zatuszować. Plama łąty – placu, połączyła nieprzecinające się odcinki ulicy.

Im bardziej prospekt Newski zbliża się do rzeki Newy, tym bardziej pięknieje i rośnie. W okolicy mojego hotelu dopiero się zaczyna, rozpędza. Jeszcze nic nie przepowiada wspaniałości, które wkrótce ukażą się oczom przybysza.

Ulica miała być petersburską aleją Champs Élysées. I choć zabrakło tak cenionej w klasycyzmie symetrii, to jednak od początku przyciągała rezydujących w Rosji najszykowniejszych kupców i jubilerów, a po pierestrojce również i najbardziej luksusowe marki, tak pożądane przez rosyjskie elegantki symbole zgniłego Zachodu.

Są więc na Newskim sklepy Louisa Vuittona, Diora czy Prady. Teraz, w październiku 2022 roku – wszystkie pozamykane. W witrynach wiszą enigmatyczne informacje – „zamknięte z powodów technicznych”, „czasowo zamknięte, zapraszamy do odwiedzenia strony internetowej”. Żadnej wzmianki o wojnie z Ukrainą, ani słowa o sankcjach. Na razie po prostu zniknął personel i znaczna część kolekcji, ale sklepy nie są zupełnie puste. Pewnie wciąż czekają, co się stanie, na którą stronę przechyli się szala zwycięstwa. Luksus nie lubi pośpiechu ani drastycznych zmian. Ile jest w Europie tak pięknych i reprezentacyjnych ulic? Na razie można po prostu przygasić światła i utrzymać okno wystawowe w czystości. W ten sposób wzbudzać tęsknotę



za dawnym porządkiem i jednocześnie nie zwalniać miejsca, na które pewnie już czają się konkurenci ze Wschodu, tacy jak sieć sklepów Mongolski Kaszmir czy też Białoruski Trykotaż, których butiki już są w okolicy. Widzę otwarty sklep Paula Smitha. W środku kilka osób. Drogerie Yves Rocher też działają w najlepsze. To nie ich wojna.

Chcę przejść do samego końca słynnej ulicy, ale to prawie pięć kilometrów. Jest zimno, zaczyna padać. Wsiadam do trolejbusu, żeby skrócić drogę. Za szybą migają sklepy, kawiarnie, kobiety z siatkami, dziecięce wózki, psy na smyczy. Z okien pojazdu wielkomiejskie życie Petersburga wydaje się zupełnie zwyczajne. Ale to tylko pozory. Przyglądam się moim współpasażerom. Oczywiście nikt nie patrzy mi w oczy. Mimo względnego tłoku ani jedna osoba nie zdecydowała się na to, żeby usiąść koło mnie. Wyglądam obco (zapewne przez wystające spod czapki dredy), jestem obca, a od obcych lepiej w niepewnych czasach trzymać się z daleka.

Wysiadam przy moście na Fontance. Stąd już niedaleko do najbardziej rozpoznawalnej części miasta: placu Pałacowego. Oprócz zielono-białego Pałacu Zimowego, siedziby carów, gdzie mieści się muzeum Ermitaż, stoi tam masywne gmaszysko Sztabu Generalnego oraz niemal pięćdziesięciometrowa kolumna Aleksandra. Dziewiętnastowieczne damy bały się jeździć wokół niej powozem. Nawet ja dziś mam nieprzyjemne uczucie, że ważący sześćset ton kolos może runąć. Dziwaczny pomnik sterczy na niemal pustym placu, ledwo widać, że tę kolumnę zwieńcza rzeźba przedstawiająca anioła z krzyżem w dłoni. Ta

najwyższa tego typu konstrukcja na świecie ma w sobie coś niezwykle potężnego i absurdalnego. Tak jak wiele rzeczy w Rosji. Myślę, że w architekturze Petersburga, miasta zbudowanego pośpiesznie, na pustkowiu, według imperialnego zamysłu cara, można się doszukiwać analogii do systemu władzy w tym kraju. Robił to wcześniej wspomniany już przeze mnie markiz de Custine, któremu ciekawość i rozbudowana sieć kontaktów umożliwiły prawdziwie szpiegowską obserwację rządzonego przez cara państwa. Podobno Mikołaj I wpadł w wielki gniew, kiedy przejrzał cztery tomy dzieła de Custine'a i choć pożałował, że wpuścił Francuza na salony, z pasją wczytywał się w jego relację. Jest coś ekscytującego w byciu podglądanym, w analizie tego, jak widzą nas inni.

Miejsce, w którym teraz stoję, wydaje się idealnym punktem obserwacyjnym. Kiedy do Petersburga przyjechał Kapuściński, też zadumał się nad pustką i potęgą placu Pałacowego. Jego zdaniem kompozycja placu uosabia prawdziwy charakter i strukturę władzy w Rosji:

„Jej formę najwyższą symbolizuje Pałac Zimowy – siedziba panującego. Natomiast jej prawym ramieniem, najważniejszym i jedynym, nie jest ani władza duchowa (nie widać tu cerkwi), ani władza przedstawicielska (nie widać tu budynku parlamentu), ale armia, wojsko, oręż (gmach Sztabu Generalnego)” – pisał w *Imperium*.

Jest jeszcze rzeka, która swoim pięknem dodaje placowi majestatu. Rozlewa się szeroko, Pałac Zimowy wydaje się dryfującą na niej wyspą. Pamiętam, jak wiele lat temu płynęłam

po Newie turystyczną łódeczką. Był ciepły letni wieczór. Jeden ze współpasażerów, żołnierz w galowym mundurze, leciutko wstawiony, pomógł nam otworzyć butelkę piwa. Zrobił to bardzo sprawnie, wykorzystując jeden ze swoich licznych orderów. Nie wiem, jak zachowałabym się dziś w towarzystwie rosyjskiego wojskowego. Trudno byłoby zresztą spotkać teraz, kiedy trwa mobilizacja, zrelaksowanego mundurowego na przepustce. Zdobywcy orderów i odznaczeń zajęci są czym innym.

Zanim spotkam się z Leną, chcę odwiedzić pewną organizację, która – jak przypuszczam – ma w związku z mobilizacją mnóstwo roboty. Zerkam na plan miasta w komórce. Najszybciej dojadę metrem. Będzie tylko jedna przesiadka.

Znikam pod ziemią na stacji Gostinyj dwor. Stromy zjazd w dół może przerażać cierpiących na klaustrofobię. Petersburskie metro należy do najgłębszych na świecie kolei podziemnych. Rekord bije stacja linii numer pięć Admiraltieskaja na głębokości 86 metrów. Dla porównania: warszawskie metro to najczęściej tylko jakieś pięć metrów w dół, a najgłębiej położona stacja londyńskiego Undergroundu to niecałe sześćdziesiąt.

Ruchome schody wydają się nie mieć końca. Mijam wpatrzonych we własne stopy pasażerów i reklamy specjalnej operacji wojskowej w Donbasie. Litera z jest wszechobecna również pod ziemią.

Pociąg podjeżdża, udaje mi się usiąść koło staruszki, która na mnie nie patrzy, tylko pospiesznie się odsuwa. Muszę się dostać do stacji Dostojewskaja. Niedaleko jest siedziba Soldiers' Mothers, organizacji wspierającej rodziny żołnierzy oraz rekrutów,



Zjazd do petersburskiego metra może przerażać klaustrofobików.  
To jedna z najgłębszych na świecie kolei podziemnych.

udzielającej pomocy na przykład w przypadkach *diedowszcziny*, czyli fali. Członkinie stowarzyszenia wielokrotnie wypowiadały się w zachodnich mediach, miały nieprzyjemności. O Soldiers' Mothers opowiada w swojej świetnej książce *Pandrioszka* Krystyna Kurczab-Redlich. Tak się złożyło, że ta organizacja uratowała syna jej znajomej. Dzięki pomocy działaczek udało się upozorować śmierć dręczonego w koszarach chłopaka i w ten sposób umożliwić mu ucieczkę z wojska i ostatecznie z Rosji.

Przypuszczam, że zarząd Soldiers' Mothers może mieć teraz w związku z tak zwaną częściową mobilizacją poważne kłopoty. Instytucja mieści się w starej kamienicy w centrum, przy ulicy Razjezzaja. Nie udało mi się z nimi umówić. Telefon milczał, na mejle nie było odpowiedzi, poza enigmatyczną informacją, że prawdopodobnie nikogo nie będzie w biurze w terminie, kiedy jestem w Petersburgu. Rozumiem, że działaczki muszą zachowywać czujność. Zapewne nie przekonał ich mój wywód o książce, do której zbieram materiały. A może uznały, że spotkanie ze mną jest ryzykowne. Postanawiam jednak spróbować jeszcze raz, osobiście. Pojawię się na miejscu w godzinach dyżuru organizacji. Niestety drzwi są zamknięte. Dzwonię po raz kolejny, cisza. Stoję na korytarzu przez pół godziny, za każdym razem, kiedy otwierają się ciężkie drzwi wejściowe, mam nadzieję, że pojawi się w nich jedna z działaczek, ale jak na razie to tylko sąsiedzi z tego samego budynku. Tak jak i na ulicy – nikt nie patrzy w oczy, nikt o nic nie pyta, wszyscy zachowują bezpieczny dwumetrowy dystans. Kiedy do kamienicy wchodzi młoda kobieta w czerwonym płaszczu, przez chwilę mam cień nadziei, że mi pomoże.



Wszechobecna litera z.

Zagaduję najprzejmiej, jak potrafię, pytam, czy wie, kiedy ktoś z Soldiers' Mothers może się w kamienicy pojawić. Kobieta nawet się nie zatrzymuje. Nie patrząc mi w oczy, rzuca szorstko:

– Nie znam tej organizacji i nie mam z nią nic wspólnego.